MALTA 2016

W tym roku szkolnym, po wielu miesiącach, dniach i godzinach wytężonej pracy, zakrapianej dużą dawką cierpliwości i niesamowitej inteligencji, naszej drogiej koleżance Grażynce udało się pozyskać w ramach programu Erasmus środki na kursy językowe dla ośmiu nauczycieli.

Sześcioro z nas (Elżbieta Brussy, Paweł Kalota, Aleksandra Lipnicka, Barbara Majchrowicz, Renata Połeć, Barbara Urban) wyjechało w dniach 31.07 – 14.08 na kurs języka angielskiego na Maltę, dwoje (Jadwiga Błażejewska i Paweł Stępka) podczas wakacji uczyło się języka hiszpańskiego w Maladze.

Niniejsze sprawozdanie dotyczy pobytu nauczycieli na Malcie.

**Dzień pierwszy – 31.07.2016, niedziela**

Wylot na Maltę mamy dość późno – ok. godziny 21 z Wrocławia. Na lotnisko jedziemy samochodami (w podgrupach), korzystając z dobroci naszych mężów. Spotykamy się około godziny 19, pełne optymizmu i dobrych humorów (no może nie wszystkie), wkrótce dołącza do nas Paweł. Odprawa bagaży bez problemów, w oczekiwaniu na lot Basia i Ela nawiązują znajomość z naszą rodaczką Olą, która mieszka i pracuje na Malcie. Lot jest opóźniony ok. 20 minut, ale na Maltę przylatujemy na szczęście bez opóźnienia. Tu dzięki operatywności Grażynki czeka na nas kierowca busa, który po krótkim powitaniu dowozi nas na miejsce (czyli do naszego apartamentu) oraz odwozi Pawła do jego miejsca zamieszkania.

Na miejscu wita nas właściciel (bardzo sympatyczny człowiek). Po wejściu do mieszkania od razu (jak to baby) „lustrujemy” wszystkie kąty i sprawdzamy, czy mamy wszystko, co było przedstawione w ofercie. Uuufff…. Klimatyzacja działa!!! Właściciel ze stoickim spokojem pokazuje nam wyposażenie mieszkania, przezorna Ola bierze od niego numer telefonu (na wypadek sytuacji awaryjnych). Nie wiem dlaczego, ale od razu w nocy zabrałyśmy się za rozpakowywanie bagaży, a zajęło nam to trochę czasu. Potem prysznic, herbatka i – o dziwo 2.30 na zegarze, a my próbujemy zasnąć. Pobudka o 6.00, bo mamy być na uczelni o 8.30, a przecież nie bardzo wiemy, jak poradzimy sobie z dojazdem.

**Dzień drugi – 1.08.2016, poniedziałek**

Nie powiem, żebyśmy sobie pospały, ale na razie jesteśmy pełne zapału. Szybko podejmujemy decyzję, że od rana pojedziemy do Valletty, bo tam na pewno uda nam się kupić tygodniowe bilety na przejazdy słynną maltańską komunikacją. To była mądra decyzja – z biletami i chyba trochę na wyczucie (jeśli chodzi o numery autobusów) docieramy na uczelnię w wyznaczonym czasie. W autobusie spotykamy pierwszych Polaków, którzy podążają na tę samą uczelnię. Wspólnymi siłami a także z pomocą wskazówek GPS-u oraz pierwszej poznanej mieszkanki Malty znajdujemy drogę do uczelni.

W sekretariacie jesteśmy bardzo miło przywitane i szybko rozpoczynamy pierwsze zajęcia. W naszej grupie jest 7 osób, oprócz nas nie ma nauczycieli. Jest jedna Rosjanka, chłopak i dziewczyna z Włoch, jeden Libijczyk, oraz my, czyli Ola, Renia i ja. Basia i Ela są razem w innej grupie, Paweł to „jeszcze inna bajka”. Pierwsza część zajęć trwa 1,5 godziny, o 10.30 półgodzinna przerwa śniadaniowa. Przerwy możemy spędzać w bufecie – siadamy na dworze, tuż przed basenem, zamawiamy kawę, tosty, i wymieniamy pierwsze wrażenia. Niespodziewanie po przerwie dołączają do nas Ela i Basia, które uciekły ze swoje grupy przed niekończącymi się idiomami i zbyt wysokim poziomem. Teraz mamy „silną grupę pod wezwaniem”, Paweł oczywiście doskonali swój angielski w innej grupie. Po przerwie znów 1,5 godziny zajęć grupowych, dzisiaj nie ma lekcji indywidualnych. A podczas zajęć przedstawiamy się, poznajemy słownictwo i rozmawiamy na temat aktywnych form spędzania czasu wolnego.

Po zajęciach wracamy do domu, pod wieczór jedziemy do Valletty stolicy Malty – na „pierwszy rzut oka” jest piękna i przyjazna. Ulice są niesamowicie kolorowo przystrojone z okazji odpustu w jednym z tutejszych kościołów. Takiej ilości kolorowych proporców (właściwie nie wiem, jak to nazwać) rozwieszonych nad ulicami jeszcze nie widziałyśmy. Przemierzamy główną ulicę, rozglądając się za miejscem, gdzie mogłybyśmy coś zjeść, docieramy do nabrzeża. W końcu zmęczone siadamy przy stoliku (za chwile chyba wszystko będzie zamknięte). Jemy pyszną obiadokolację i wracamy do domu. Po tych krótkich eskapadach zauważamy, że na Malcie nie ma marketów (na całej wyspie są aż cztery Lidle), w naszej dzielnicy sklepiki są małe i trochę „mocno inne”, niż u nas. Chciałybyśmy zrobić zakupy na śniadanie, ale nie bardzo dostrzegamy stosowny sklep, za to mamy pod domem dwa duże sklepy chemiczne. Męczy nas prozaiczna wręcz rzecz – od rana szukamy chleba…

**Dziś 72 rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego!**

**Dzień trzeci 2.08.2016, wtorek**

Za chlebem ciąg dalszy…..

Do uczelni docieramy trochę spóźnione, rozpracowanie komunikacji miejskiej zajmie nam chyba trochę czasu. Co prawda wielu kierowców jest bardzo miłych i chętnie udziela wyjaśnień (oprócz „wuja Toma”), ale czasem oni też nie znają wszystkich połączeń i nie potrafią trafnie odpowiedzieć na nasze pytania. Czasem problemem może być niewłaściwa wymowa (z naszej strony) nazw przystanków lub miejsc, do których chcemy dotrzeć – tu obowiązuje wymowa maltańska. Od rana mamy pierwsze zajęcia indywidualne – prowadzący są bardzo kompetentni, sympatyczni i cierpliwi (w razie potrzeby mówią do nas „dużymi literami”). Na zajęciach grupowych uczymy się dzisiaj zadawać pytania związane z miejscem, czasem, sposobem robienia czegoś – trochę słownictwa, trochę gramatyki, ogólnie dajemy radę. Mamy też małe zadanie domowe. Nasza lektorka Cath stosuje różne metody pracy i dba, żebyśmy nie rozmawiały między sobą po polsku, mobilizuje nas do współpracy i kontaktu ze wszystkimi uczestnikami grupy. Jest bardzo sympatyczna (no może trochę przesadza z klimatyzacją). Zajęcia kończymy o 12.30. Na przystanek autobusowy idziemy z Silem-Rosjanką z naszej grupy – jest tutaj nieźle zagubiona i samotna. Na miarę naszych możliwości staramy się pomóc jej w opanowaniu komunikacji miejskiej. Szkoda, że tak słabo pamiętamy język rosyjski (aż wstyd!!!).

Po południu wybieramy się na plażę. Jest ich na Malcie kilka, dziś wybrałyśmy Golden Bay. Jadąc autobusem podziwiamy krajobraz Malty. Staramy się doskonalić język angielski w praktyce. Plaża jest super, przede wszystkim piaszczysta, z łatwym dojściem do morza. W restauracji przy plaży jemy obiadokolację. Tym razem mój wybór nie jest trafiony – regionalna potrawa w postaci bułki wielkości piłki nożnej, z bliżej nieokreślonym farszem. No cóż, człowiek głodny wiele może znieść.

Wieczór spędzamy w domu – Ela i Basia udzielają pomocy z języka angielskiego. Przy herbatce odrabiamy zadanie domowe i wkuwamy słówka, wspominamy dzisiejsze wydarzenia. Teraz rozumiem, dlaczego Ola jest taka dobra w grach terenowych. Tylko ona potrafi rozpracować tutejsze mapki z rozkładem jazdy autobusów i skorelować je z aplikacją dot. komunikacji miejskiej. Jednym słowem gra terenowa w praktyce, a my w rolach głównych.

A co najważniejsze – mamy chleb.

**Dzień czwarty – 3.08.2016, środa**

Sprawniej poruszamy się komunikacją miejską, chociaż według Oli autobus 54 to „widmo”.

Na zajęciach grupowych podobnie jak wczoraj – uczymy się opowiadać o przyjaciołach i rodzinie – skąd pochodzą, jakie mają zawody, w jakim języku mówią, co lubią robić. Co niektórzy „odkurzają” słownictwo, inni poznają. Podczas rozmów uczestnicy zajęć coraz więcej dowiadują się o sobie. Ćwiczymy zadawanie pytań w czasie Present Simple. Na zajęciach indywidualnych prowadzący „sondują” nasze możliwości, powoli się rozkręcamy.

Mamy plan na dzisiejsze popołudnie – wioska rybacka Marsaxlokk, leżąca w południowo-wschodniej części wyspy, nad zatoką o tej samej nazwie. Paweł deklaruje się dzisiaj nam towarzyszyć. Docieramy tu z przygodami – na przystanku Mater Dei czekamy w skwarze ponad godzinę, bo jeden kurs autobusu po prostu sobie „wypadł”. Chyba wszystko wyglądało zbyt pięknie, wydawało nam się, że rozkład jazdy autobusów i przesiadki mamy rozpracowane wręcz doskonale, a tu… „złośliwość rzeczy martwych”. W żaden sposób nie zepsuło to naszego humoru – był czas na przemyślenia i obserwację życia codziennego Maltańczyków. W każdym bądź razie nasze „cierpienie” zostało nagrodzone – na miejscu czekają nas wspaniałe widoki. Wysiadamy na przystanku blisko portu, z daleka widzimy charakterystyczne, kolorowe łodzie rybackie, szmaragdową wodę, na nadbrzeżu stoiska targowe, gdzie kupić można chyba wszystko – biżuterię, słodycze, owoce, słynne wyroby z koronek, pamiątki, ale to nas najmniej interesuje. Spacerujemy wzdłuż brzegu i robimy zdjęcia, z bliska dostrzegamy wymalowane na bokach łodzi charakterystyczne „oczy Ozyrysa”. Wzdłuż ulicy ciągną się małe knajpki serwujące świeże ryby i owoce morza. W poszukiwaniu dobrego obiadu nieoceniony okazuje się nasz Paweł. Chodzi z nami dzielnie w tym upale (niczym z haremem), rozmawia swobodnie po angielsku z kelnerami. Aż tu nagle „wyhacza nas z chodnika” sam szef restauracji. Paweł super negocjuje cenę obiadu, tak więc siadamy przy stoliku nad brzegiem morza i wreszcie mamy zasłużony odpoczynek. Obiad (zgodnie z obietnicą szefa) jest pyszny, spędzamy bardzo wesoło czas – Paweł otrzymuje od szefa ksywkę „Head master”. Po obiedzie robimy sobie z szefem wspólne zdjęcie i maszerujemy nadbrzeżem dalej. Po drodze Paweł i Basia zaliczają kąpiel w morzu. W pewnym momencie tylko Paweł, Ola i ja wędrujemy wzdłuż brzegu do widocznej z daleka twierdzy. Po drodze czekają nas znów piękne widoki – z niewielkiego klifu spoglądamy w dół na szmaragdową wodę. W błogim nastroju wracamy pod Uniwersytet Maltański i odprowadzamy Pawła do jego kwatery (to bardzo blisko naszego apartamentu), po czym robiąc drobne zakupy, wracamy do siebie. Wieczór spędzamy tradycyjnie – kąpiel, mała kolacja i ….. zadanie domowe na jutro.

**Dzień piąty – 4.08.2016, czwartek**

Bardzo sprawnie dotarłyśmy dzisiaj na uczelnię, choć autobusy – jak piękne kobiety – wciąż nas zaskakują (albo się spóźniają, albo jadą przed wyznaczonym czasem).

Zajęcia grupowe bardzo sympatyczne i urozmaicone. Cath tłumaczy, jak ważna jest prawidłowa wymowa – często ludzie nie rozumieją cudzych wypowiedzi przez błędną wymowę. Tak więc bawimy się w „głuchy telefon” – w czteroosobowych grupach powtarzamy szeptem zdanie zapisane przez Cath, po czym ostania osoba musi zapisać to, co usłyszała na tablicy. Później również pracujemy w grupach – ciąg dalszy rozmówek dotyczących opisu osób, gramatyka – czas Present Simple. Coraz sprawniej zadajemy pytania i opowiadamy o sobie. Tematyka zajęć indywidualnych jest już bardzo różna – Ola – historia Polski (wczoraj w nocy przygotowywała prezentację na ten temat), Ela- rodzaje muzyki, Basia poznaje strony internetowe ułatwiające naukę języka angielskiego, ja – słownictwo związane z plażą oraz gramatyka, a Renata z kolei nie może się nadziwić, że tak świetnie dogaduje się ze swoim nauczycielem (po angielsku i po słowacku☺).

Ale, że niespodzianki to nasza specjalność – tym razem adrenalinę podnosi nam Renatka, która prawie „odpływa” (czytaj: mdleje) na zajęciach. „Sióstr miłosierdzia” wokół cierpiącej Reni jest bez liku, łącznie z kadrą uczelni, ale Renatka ledwie „dycha” i nie pomagają żadne kawy, wody i inne mikstury, które serwują jej co chwilę z sekretariatu. Na szczęście po przerwie dociera do nas nasz „Head master”, wciela w życie pierwszą pomoc i Renia „wraca do żywych”. Z powodu tego zamieszania i obaw o dobrą kondycję Reni zamiast wycieczki na plażę – wracamy dzisiaj grzecznie do domu. Po drodze odwiedzamy nasz „sklep rybny” (całkiem „wypasiony”), kupujemy więc świeże ryby, owoce morza, warzywa, owoce. Tym razem „balanga kulinarna” u nas. Wszystko bardzo zdrowo – z piekarnika, bez tłuszczu, głównie za sprawą Basi i Oli pyszny obiad ląduje na stole. Pod wieczór Renata czuje się dobrze, więc po poobiedniej sjeście razem z Pawłem idziemy na spacer do Sliemy. To miasto leżące blisko nas na północno-zachodnim wybrzeżu wyspy. Sliema jest bardzo nowoczesna, pełna hoteli i restauracji. Jej główna ulica biegnie wzdłuż wybrzeża, skąd roztacza się przepiękny widok na Vallettę. Efekt psuje duży ruch samochodowy. O tej porze dnia Valletta jest cudnie oświetlona słońcem, więc robimy piękne zdjęcia. Ale przy okazji, dzięki dociekliwości Pawła, odkrywamy przy wejściu do miasta niesamowity zakątek – miniaturki kurników, a przy nich całe „dobrodziejstwo inwentarza”. Nawet koń kąpie się w morzu. Dzień jest do końca upalny i bardzo wilgotny. W dobrych nastrojach wracamy do mieszkania.

**Dzień szósty – 5.05.2016, piątek**

Dziś od rana znów niespodzianki – tym razem dzień pechowy dla Eli. Robiąc śniadanie nieopatrznie „potraktowała” widelcem toster, przez co odpaliła korki lepiej niż Maltańczycy fajerwerki (a trochę już ich tu słyszałyśmy). W całym mieszkaniu nie ma prądu, tak więc dzisiaj nici z prasowania, suszenia włosów i układania fryzur. Prądu (mimo wysiłków Oli) nie udaje nam się samodzielnie wskrzesić, musimy interweniować u naszego gospodarza. No to Ola ma od rana „angielski zawodowy” w praktyce. Z powodu tego incydentu bardzo spieszymy się na przystanek, no i kłopotów ciąg dalszy (w myśl zasady „spiesz się powoli”) – Ela „fiknęła koziołka” na chodniku, efekt - podarte spodnie i zdarte kolano. Mamy nadzieję, że dziewczyna wyczerpała już limit nieszczęść na ten dzień. Za to komunikację miejską mamy opanowaną do perfekcji (no, może prawie do perfekcji).

W szkole bardzo sympatycznie – ćwiczymy słownictwo i gramatykę. Podczas pracy w parach Basia odkrywa, że Talar (Libijczyk z naszej grupy) nie ma pojęcia o holokauście. **Gość mówi naszej Barbarze, że lubi Hitlera!!!.** Chyba nie wie, w co się wpakował. No to Barbara się rozwinęła… Do rozmowy włącza się nawet Cath.

Na zajęciach indywidualnych Ola bardzo ambitnie opowiada, co robiła dnia poprzedniego oraz o planach na dzień dzisiejszy. Renata szlifuje podstawy.

Po szkole dzisiaj wyjątkowo zajęcia w podgrupach. Basia i Ela wybierają się do Valletty, aby odebrać Wiesię i Monikę, które przyjeżdżają na weekend. Paweł jak zwykle – chodzi „swoimi ścieżkami”. My (tzn. Ola, Renia i ja) wybieramy się na plażę – tym razem nasz wybór pada na Ghajn Tuffieha. Jedziemy autobusem, tak jak na Golden Bay, ale kawałek od pętli musimy przejść pieszo (ok. 1 km). W tym upale i z ciężkimi torbami (od rana nosimy ze sobą wszystko) trochę daje nam się ten marsz we znaki. Ale gdy docieramy do celu, widok nas zachwyca. Plażę widzimy z góry, schodzi się na nią po schodach. Jest piaszczysta, co na Malcie jest raczej rzadkością. Przed zejściem docieramy do wznoszącej się po prawej stronie Ghan Tuffieha Tower. Jest trochę zaniedbana i osamotniona, ale podziwiamy z góry piękne widoki na morze i pobliskie zatoki oraz….. korzystając z chwili samotności w terenie dyskretnie przebieramy się w stroje kąpielowe. Z góry widzimy, że za niewielkim wzniesieniem przy naszej plaży odsłania się również morze. Tak więc po krótkim odpoczynku wybieramy się z Olą na małą eskapadę. Podejście nie jest trudne, ale nie w tych butach, które mamy na nogach. Dajemy jednak radę i naszym oczom odsłania się kolejna zatoka. Leżąca przy niej plaża jest kamienista, a jej główną częścią są dwa płaskie bloki skalne wcinające się w morze. Oczywiście z góry widzimy, że tam też są turyści, tyle że w znacząco mniejszej ilości. Żeby tam dotrzeć, trzeba chyba fruwać (albo dopłynąć łodzią). Morze jest dzisiaj wyjątkowo spokojne, woda ciepła i bardzo czysta, tak więc mamy świetną kąpiel. A poza tym nie ma tłumu, pod tym względem jest tu lepiej, niż na Golden Bay, można wypocząć. Udaje też nam się tutaj zjeść świetną sałatkę i wypić maltański specjał – Kinnie z lodem. To bezalkoholowy napój o słodko – gorzkim smaku, z lodem smakuje bardzo dobrze.

W drodze powrotnej robimy duże zakupy (sklepy mamy już opanowane), wieczór spędzamy bardzo miło przy wspólnej kolacji z naszymi gośćmi i z Pawłem.

**Dzień siódmy – 6.08.2016, sobota**

Dzisiaj nie ma zajęć. Planujemy wyprawę na wyspę Gozo i Comino. Chciałyśmy tam dotrzeć ambitnie same, ale towarzystwo trochę pospało i zrobiło się zbyt późno na eksperymentowanie z autobusami i promem. Tak więc idziemy na łatwiznę i wykupujemy wycieczkę ze Sliemy – rejs statkiem na Gozo, a tam „obwoźna eskapada” po najważniejszych miejscach wyspy. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło – wykupując wycieczkę ćwiczymy angielski w praktyce. Podczas rejsu wysłuchujemy informacji o mijanych miastach i miejscowych atrakcjach turystycznych w języku angielskim (każdy rozumie „po swojemu”). Na Gozo przesiadamy się do busa, który „upakowawszy” klientów niekoniecznie wygodnie, ale za to z maksymalnym wykorzystaniem miejsca (w pewnym momencie ocieramy się niemal o łamanie goleni), wiezie nas do Azure Window (Barbara po drodze „ucina komara”). Azure Window to rodzaj mostu skalnego u wybrzeża wyspy, przez który przepływa woda. Czasu mamy jednak bardzo mało, jesteśmy naprawdę zachwycone widokiem i szybko robimy pamiątkowe zdjęcia, mamy jednak niedosyt - trzeba będzie tu wrócić. A tymczasem jak na gwizdek ładujemy się z powrotem do busa, który wiezie nas tym razem do stolicy wyspy – Victorii. Wysiadamy w centrum miasta i dowiadujemy się, że za ok. 1,5 godziny musimy być z powrotem na miejscu – a więc czasu znowu niewiele. Kierowca sugeruje nam najważniejsze miejsca do zwiedzania. W pierwszej kolejności udajemy się do wznoszącej się ponad miastem potężnej cytadeli. Punktem centralnym jest tu piękny kościół, my jednak udajemy się na mury obronne, skąd roztacza się przepiękny widok na miasto i okolicę. Później przemierzamy okoliczne wąskie uliczki, o niesamowitym uroku i klimacie, pełne straganów i sklepików z pamiątkami i miejscowymi wyrobami. Ulice tutaj są też udekorowane - to chyba nagminny zwyczaj. Docieramy do katedry pod wezwaniem Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny, budynku opery i powoli wracamy do punktu zbiórki. Kierowca jest bardzo zorganizowany i broń Boże się spóźnić. Upychamy się szybko do naszego pojazdu i wracamy na statek, którym płyniemy na wyspę Comino. Statek zatrzymuje się przy przepięknej cieśninie między wyspami Gozo i Comino, która nosi nazwę Blue Lagoon. Podziwiamy z góry niesamowity kolor wody i białe, piaszczyste dno. Mniej zachwycamy się tłumem, który gromadzi się w wodzie, a do którego też zmierzamy. Plaży praktycznie tu nie ma, wszyscy „kotwiczą” na skrawkach skał i przebierają ukradkiem ubrania. Woda jest tutaj dość chłodna, ale zaliczamy kąpiel. Z tego miejsca wracamy statkiem do Sliemy. Rejs w jedną stronę trwa ok. 1,5 godziny, tak więc wycieczka zajmuje nam cały dzień. Spędziłyśmy go mile i aktywnie, choć w tym upale było to wyczerpujące.

Dzisiaj robimy samodzielnie zakupy i ćwiczymy w sklepach język angielski. Renia realizuje się na Gozo u jubilera (jej łupem padają bransoletki dla córek), ja robię blisko naszego apartamentu zakupy spożywcze. Staramy się w sklepach unikać „języka migowego”.

**Dzień ósmy – 7.08.2016, niedziela**

Niedzielę rozpoczynamy od śniadania i wyjazdu do Valletty na mszę św. w katedrze św. Jana. Msza rozpoczyna się o godzinie 9.15, a o jej niesamowitej oprawie ze strony chóru zapewniła nas wcześniej Cath. I rzeczywiście msza jest bardzo uroczysta, a na koniec mamy okazję usłyszeć przepiękne solowe wykonanie pieśni „Ave Maria”. Katedra jest piękna, dostojna i ogromna, wręcz „kapie” od złota.

Dzisiaj dzień turystyczny – Basia, Ela i Wiesia pływają statkiem, Ola, Renia i ja jedziemy na południe wyspy do Blue Grotto. To liczne jaskinie wyrzeźbione przez morze w skałach, gdzie woda przy odpowiednim oświetleniu przez słońce przybiera niesamowite kolory. Wykupujemy tam rejs motorówką i zaopatrzone w kapoki wsiadamy do łodzi. Morze jest dość wzburzone, ale rejs jest krótki i przyjemny. Wpływamy do poszczególnych jaskiń, podziwiamy widoki i staramy się robić zdjęcia (największe szanse maja ci, którzy siedzą na miejscach z przodu). Szkoda, że w weekend jest tu „przerób jak na taśmie” i cała wyprawa trwa trochę za krótko. Ale było warto. Na miejscu zaliczamy obiadek i zabieramy się do realizacji naszego kolejnego punktu programu – tym razem naszym celem jest pierwsza stolica Malty – Mdina. Podróż zajmuje nam trochę czasu, choć teraz wsiadamy już do autobusów bez obaw. Do miasta zajeżdżamy jednak po południu i chyba nie wszystko uda nam się zobaczyć. Mdina leży na wzgórzu i jadąc autobusem można ją zobaczyć z daleka. Gdy wysiadamy, nie mamy pewności dokąd iść, bo łączy się ona z sąsiednim miastem – Rabatem (właściwie dzieli te miasta jedna ulica). W końcu przez bramę w murach obronnych wchodzimy do Mdiny. Jest ona bardzo stara i mówiąc krótko, trudno ją sobie wyobrazić, nie będąc tam - gęsta sieć wąskich uliczek (szerokości naszych chodników), każda w swoim stylu, przepiękne wykusze, balkoniki, charakterystyczne kołatki u drzwi. Mijamy dwie katedry (niestety zamknięte) i docieramy do murów obronnych na skraju miasta, z których rozciąga się piękny widok na okolicę. Z powodu wąskich ulic nie ma tu ruchu samochodowego i panuje nieopisany spokój. W kawiarni spotykamy się z resztą naszej „ekipy” i wymieniamy wrażenia.

Do domu wracamy wieczorem pełne wrażeń i zmęczone. Po kąpieli uczymy się języka angielskiego.

**Dzień dziewiąty – 8.08.2016, poniedziałek**

Wiesia i Monika wyjechały bardzo wcześnie rano (nawet nie słyszałyśmy, kiedy wyszły z mieszkania). A nas codziennie rano budzą roboty drogowe – pod naszym domem „zaorano” rondo i ciężki sprzęt od rana daje nam nieźle popalić. Na balkonie mamy warstwę pyłu jak w Pompejach po wybuchu wulkanu. Z tego powodu Ela nie bardzo rozpoznała na początku teren (czegoś jej brakowało) - za rondem, wg zdjęć satelitarnych, miał być ogródek, a tu pobojowisko.

Przed nami drugi tydzień zajęć. Renia rozpoczyna dzisiaj zajęcia w innej grupie (razem z Rosjanka Selimą). Do nas dołączyło kilka osób, dwie ubyły, ale ogólnie zrobiło się bardzo międzynarodowo. A więc mamy w grupie Koreańczyka (Korea Płd. – chce być policjantem w Interpolu), Hiszpan, Kolumbijczyk, Libijczyk, ksiądz z Togo, Turczynka, no i my. Wszyscy nowi dobrze mówią po angielsku, więc nasza Cath bardzo się rozkręca, poziom zajęć coraz wyższy. W pewnym momencie wyczuwam, że praca w parach z takimi osobami jest dla mnie za trudna (znam zbyt mało słownictwa), wiec grzecznie ewakuuję się do grupy Renaty, w czym pomaga mi nasz Bodyguard, czyli Paweł. Ten to ma urok, w sekretariacie wszystko załatwi. Tak więc jestem w grupie z Renią, Selimą, jest z nami Włoszka z Majorki i siostra zakonna z Wietnamu, stacjonująca na stałe w Rzymie. Na każdych zajęciach mamy słuchanie tekstu, mówienie (ćwiczymy dialogi), pisanie i gramatykę. Na zajęciach indywidualnych prowadzący „podkręcają śrubkę”, czasem rzucają ambitne tematy. Po tygodniu widzimy postępy, aczkolwiek czasem jesteśmy zmęczone. Tym bardziej, że każdego dnia po zajęciach staramy się coś zwiedzić, a wieczorami sprzątanie, i zadania domowe. Wychodzimy w tym tygodniu z mieszkania o 8.00, wracamy o 20.00. Trochę „cygańskie” życie, a my, no cóż – czujemy się młodo, ale…..

Dzisiaj po południu jedziemy jeszcze raz na plażę Ghan Tuffieha, bo Basia i Ela jeszcze tam nie były. Ale nasze popołudnie zaczyna się godzinę później (mamy dłużej zajęcia). Pogoda jest nietypowa jak na tę porę roku na Malcie (tylko 290 C to u nich chyba chłodno). Na morzu są dzisiaj spore fale, ale woda jest przyjemna.

Wieczorem robimy generalne porządki, a po kolacji uczymy się ambitnie języka angielskiego.

**Dzień dziesiąty – 9.08.2016, wtorek**

Zajęcia grupowe odbywają się tradycyjnie. Pracujemy często w parach lub zmieniamy nasze małe grupy i ćwiczymy to samo. Moim kompanem grupowym jest siostra z Wietnamu Nim Nguen (czytej „Nim Łin”), stacjonująca na co dzień w Rzymie. Alfabet Wietnamczyków diametralnie różni się od naszego, więc siostrze jest bardzo trudno nauczyć się prawidłowej wymowy, co nie znaczy, że nam idzie łatwo i świetnie. Ale czasem zdarzają się komiczne sytuacje – siostra nie rozumie poleceń naszej prowadzącej Bettiny i zaczyna robić coś na opak, więc kiedy biedna Bettina swoje, a siostra swoje, wtedy zaczynam moją łamaną angielszczyzną „sprowadzać siostrę na dobrą drogę”.

Na zajęciach indywidualnych niektórzy maja bardzo ambitnie. Ela- przesądy w Polsce i na świecie, Barbara – historia Polski w języku angielskim, czasy Present Sipmple, Present Continuous i Present Past, Ola – edukacja na świecie, Renata – opowieści o życiu pszczół oraz geografia Malty i Polski, ja – zawody, czas Present Simple.

Dzisiaj dzień wyjątkowy – urodziny Renaty. Dlatego obiad robimy w domu – pyszna, świeża rybka z „naszego sklepu”. Śpiewamy dla naszej kochanej Reni tradycyjne „Sto lat….” oraz „Happy birthday…”. Renia jest bardzo wzruszona. Wieczorem jedziemy do Valletty i wreszcie trafiamy na górne Ogrody Barrakka. Wchodząc przez bramę dostrzegamy sadzawkę z fontanną, rabaty kwiatowe i duże drzewa. Idąc w kierunku morza docieramy do tarasu widokowego, z którego w dole widzimy potężne armaty, a po przeciwnej stronie zatoki odsłaniają nam się pięknie oświetlone słońcem trzy najstarsze miasta Malty – Vittoriosa, Senglea, i Cospicua. Robimy pamiątkowe zdjęcia i powoli udajemy się na dworzec autobusowy, aby wrócić do naszego apartamentu. Po powrocie herbatka i… tradycyjnie zadanie domowe.

**Dzień jedenasty – 10.08.2016, środa**

Rano trochę niespodzianek autobusowych, ale choć w podgrupach, docieramy na lekcje bez opóźnień. Na zajęciach grupowych Ola, Ela i Barbara – ćwiczenia związane z przyimkami, wspólne tworzenie mapy miasta na podstawie wywiadów indywidualnych między uczestnikami grupy. Później Cath przeprowadziła grę Word Mastermind. Nasze dziewczyny ograły „resztę świata”, czyli facetów ze swojej grupy.

Na zajęciach indywidualnych – Ela – czasy warunkowe (wszystkie!!!), Barbara – historia Malty, jak pracować, aby zachować dobrą kondycje głosu, ćwiczenia z przysłówkami, Ola – roślinność i ogrody, warunki lokalowe na Malcie i w Polsce, Renia – jak żyją typowi Maltańczycy, Anglicy i Polacy, ja – słownictwo związane z rodziną, ćwiczenia z przyimkami.

Po południu mamy zajęcia w podgrupach. Ela i Barbara spotykają się z Olą - Polką poznaną na lotnisku. Ola, Renata i ja wypytujemy podczas zajęć indywidualnych naszych lektorów, co rekomendują jeszcze do obejrzenia na Malcie. Po dłuższej naradzie nasz wybór pada na świątynie megalityczne w Tarxien. Na miejsce docieramy trochę późno i kupując bilety wstępu robię małą demolkę w recepcji, ale pan jest bardzo miły i szybko wchodzimy na teren wykopalisk. Jest bardzo gorąco, trudno znaleźć skrawek cienia. Wykopaliska znajdują się pod dużym, białym „namiotem”, który wygląda bardzo solidnie. Świątynie pochodzą z okresu ok. 3600 lat przed naszą erą, obiekt ten jest wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Wszystko wykonane jest z ogromnych bloków skalnych, na wielu można dostrzec liczne zdobienia. Naprawdę robi to wrażenie i warto tam pojechać. Po wyjściu z obiektu udajemy się na przystanek autobusowy i zgodnie z sugestią lektorki Oli, wsiadamy do autobusu jadącego do najstarszego miasta Malty-Vittoriosy. Jednak po drodze, zachwycone widokiem przepięknego kościoła (jednego z kilkuset) wysiadamy w miasteczku Paola. Obchodzimy wokół kościół, który niestety jest zamknięty, dalej podziwiamy biegnące w głąb miasta ulice. Na następny autobus przychodzi nam długo czekać, a słońce grzeje niemiłosiernie. Pod wieczór docieramy do Vittoriosy, a tam odpust w kościele św. Laurentego. Wchodzimy na bardzo bogato przyozdobione ulice. Wszędzie porozstawiane figury z aniołami i postaciami świętych, porozwieszane proporce i girlandy. Może jest to trochę kiczowate, ale ilu ludzi i ile wysiłku potrzeba, aby to wszystko zorganizować. Spacerujemy głównymi ulicami miasta i docieramy na plac, na którym będzie zwieńczenie dzisiejszych uroczystości. Na środku placu ustawione pulpity dla orkiestry, która przechodzi ulicami i naprawdę ją słychać. Panuje radosny nastrój, ze wszystkich stron schodzą się odświętnie ubrani mieszkańcy. Aby poczuć panujący wszędzie świąteczny nastrój i poznać zwyczaje Maltańczyków nie wystarczy być turystą, tu trzeba trochę pomieszkać. Mamy piękne zdjęcia, ale nie oddają one w pełni otaczającej nas atmosfery, chciałybyśmy tu wrócić i pokazać na żywo to, co widziałyśmy, naszym bliskim. Przykro, ale robi się późno i musimy się ewakuować do domu. Wracając do Valletty słyszymy z miasta charakterystyczne fajerwerki. Do domu docieramy ok. 21.00, nieźle zmęczone. Ale było warto!!!

P.S. Ogólnie jest nam tutaj świetnie. Jedyny minus – codziennie „sztuka przetrwania” na tutejszych ulicach. Na Malcie pasy dla pieszych i światła są ewenementem, pieszy zazwyczaj przebiega przez ulicę, uciekając przed nadjeżdżającymi samochodami. A Maltańczycy jeżdżą naprawdę brawurowo. Jadąc autobusem trzeba się nieźle postarać, aby zachować pozycję stojącą. Dodatkowym utrudnieniem dla nas jest ruch lewostronny, czasem oczekując, z której strony nadjedzie samochód, można się „wpuścić w maliny”.

**Dzień dwunasty – 11.08.2016, czwartek**

Dzień jak co dzień – pobudka, śniadanko i bieg na przystanek. Ale na zajęcia idziemy chętnie, mimo, że w drugim tygodniu mamy je w innym budynku, w którym nie ma klimatyzacji. Zamiast szronu na ramionach mamy fruwające wiecznie kartki (w każdym pomieszczeniu dwa – trzy wentylatory i otwarte drzwi i okna).

Dzisiaj na zajęciach grupowych rozmawiamy o zwyczajach panujących w naszych krajach – co wolno lub nie – w pracy, w szkole, na uczelniach, zwyczaje związane z parkowaniem, paleniem w miejscach publicznych, parkowaniem i ruchem samochodowym w centrum miasta itp.

Na zajęciach indywidualnych – Ela – układanie dialogów w nowo poznanych czasach, oglądanie BBC, Ola – kuchnia Malty, Polski i świata, Renata – słownictwo dotyczące czasu i pór roku, ja – przymiotniki i antonimy. Natomiast Barbara ze swoim lektorem Joe ma dzisiaj zajęcia „outsiede” – jedzie z panem do ogrodów św. Antoniego. Barbara relacjonuje, że to super wycieczka – godzina konserwacji (czytaj „konwersacji”) w przepięknej scenerii ogrodu.

W drodze do szkoły codziennie kupujemy owoce „u dziada” (taką ksywkę otrzymał od nas pan sprzedawca). Mimo, że nam kiedyś podpadł, owoce ma „the best”. Miło spędzamy każdą przerwę śniadaniową na uczelni – pani w bufecie już wie, jaką kto pije kawę. Chyba nieźle się tutaj zadomowiłyśmy. Autobusy ogarniamy całkiem dobrze, kierowcy lepiej odpowiadają na nasze pytania, niż jeżdżą. Gdy wysiadamy z autobusu bardzo skupiamy się na bezpiecznym przetrwaniu na chodniku – są one często bardzo wąskie, więc zazwyczaj idziemy „gęsiego”.

Dzisiaj po południu Ela i Barbara jadą do sklepu z polskimi wyrobami – chcemy podziękować naszym lektorom za ich cierpliwość, życzliwość i bardzo fachowe oraz sympatyczne prowadzenie zajęć. Kupujemy dla nich wedlowskie „Ptasie Mleczko” i „Śliwki w czekoladzie”. W odnalezieniu sklepu pomaga dziewczynom mama Oli, nowo poznanej koleżanki.

Tymczasem Ola, Renata i ja udajemy się do Rabatu – mamy zamiar zwiedzić grotę i katakumby św. Pawła oraz katakumby św. Agaty. W terenie ćwiczymy język angielski, choć czasem jest z tego powodu wesoło. I tak dzisiaj pytam w punkcie informacyjnym pewną miłą kobietkę o drogę do katakumb. W odpowiedzi słyszę słowotok „Moltiz-English”, recytowany przez tę panią jak mantra. Pani „nadaje jak katarynka” i jak tu wyjść? Kiedy pani zaczyna odtwarzać swoją wypowiedź trzeci raz (im więcej powtarza, tym mniej rozumiem), my korzystamy z tego, że nawinęli się następni turyści zainteresowani informacjami i ewakuujemy się czym prędzej do wyjścia.

Najpierw wchodzimy do groty, w której przykuwa uwagę wykuta w marmurze postać św. Pawła. To tutaj modlił się nasz papież, kiedy w 1990 r. odwiedził Maltę. Z groty schodzimy stromymi schodami do labiryntu katakumb. Są one naprawdę warte obejrzenia. Panuje tu klimat początków chrześcijaństwa, wręcz można by kręcić „Quo Vadis”.

 Po zwiedzeniu groty i katakumb wchodzimy jeszcze do mieszczącego się w tym kompleksie muzeum i robi się niestety zbyt późno, aby wejść jeszcze do katakumb św. Agaty. Trzeba będzie tu przyjechać jeszcze raz.

Wracamy do domu „jak z wyżymaczki”, a tu trzeba zrobić rybkę, leczo i jeszcze się pouczyć….

Około 19.00 wracają z zakupów Barbara i Ela, a z nimi nowa koleżanka Ola. Ola mieszka i pracuje tutaj już trzy lata. Częstujemy ją naszą skromną kolacyjką i przy herbatce wypytujemy o tutejsze życie. A czas ucieka. I znów idziemy spać po 23….

**Dzień trzynasty – 11.08.2016, piątek**

Coraz trudniej nam się wstaje (tryb życia mamy meczący), choć pewnie trudno by nam było pospać, bo pod oknem od świtu roboty drogowe. A więc powoli zaspane wynurzamy się ze swoich pokoi do jadalni – wyglądamy wtedy nietęgo. Ale mobilizujemy się szybko i robimy nasze codzienne śniadanko – sałatka owocowa (arbuz, brzoskwinie, winogrono, jabłka), „maltana peperonata”(pomidory, cukinia, papryka, cebula, dobra maltańska oliwa z oliwek + dobre towarzystwo). Kupiłyśmy też super dżem ze skórkami pomarańczy – jeden słoiczek chyba nam starczy do końca pobytu (no nie, jeszcze zostanie!!!).

Przed zajęciami grupowymi dziękujemy naszej kochanej Cath oraz Bettinie i wręczamy im „sweet surprise” – jest bardzo miło, robimy wspólne zdjęcia. Na zajęciach grupowych dziewczyny bawią se z Cath w „Bal milionerów” – każdy wciela się w jakąś znaną postać i na podstawie prowadzonych rozmów trzeba zgadnąć, kto jest kim. My z Bettiną gramy pod koniec zajęć w „wisielca” i zgadujemy w grupach angielskie słowa. Aż trudno uwierzyć, że to już koniec zajęć – trochę się jednak zżyliśmy z naszymi nowymi przyjaciółmi. Renata to typowa „mamuśka”. Ma już swoje dwie „doczki”, a teraz „przygruchała” sobie jeszcze jedną, a konkretnie Selimę. Selima pochodzi z Moskwy, jest bardzo młoda, a rodzice „zesłali” ją na Maltę na pół roku, żeby nauczyła się angielskiego. Tak więc dziewczyna miewa kryzysy, a nasza kochana Renia cóż, jest po prostu „do rany przyłóż”. Ze smutkiem patrzę, że dziewczyna straci dzisiaj taką sympatyczną pocieszycielkę i opiekunkę.

Na zajęciach indywidualnych opowiadamy naszym lektorom, co zwiedziłyśmy i dokąd się jeszcze wybieramy. Są mile zaskoczeni, że tyle widziałyśmy i że tak intensywnie poznajemy Maltę. Po zajęciach wręczamy im słodycze. Są zdziwieni i bardzo, bardzo dziękują (Joe nawet rzuca się Barbarze przez stół na szyję).

Mamy już certyfikaty, a zatem – w drogę. Dzisiaj jedziemy raz jeszcze do Rabatu. Gdy wysiadamy z autobusu, mamy świetne humory. W tym momencie Ela przyznaje nam się, jakiego dostąpiła dzisiaj zaszczytu - w rewanżu za słodki upominek otrzymała od swojego lektora Cecila „wypasiony” mazak (mamy nadzieję, że pisze). Mamy z tego niezły ubaw. Ale wracamy do zwiedzania - Ela z Barbarą udają się do katakumb św. Pawła, a później razem idziemy do katakumb św. Agaty. Są one zupełnie inne – bogate we freski, stanowią przede wszystkim miejsca pochówków. W przeciwieństwie do katakumb św. Pawła pełno tu komór grobowych wypełnionych szkieletami. Na niektórych źle to działa.

Po wyjściu z katakumb po raz ostatni przemierzamy uliczki Rabatu i wciąż coś na nowo nas zachwyca. Wszechobecne kolorowe wykusze w oknach, kołatki u drzwi, tabliczki z nazwami domów. Niektóre uliczki są węższe od naszych chodników i to właśnie one są najciekawsze. Panuje tu tak niesamowity spokój, jakby człowiek przeniósł się do innej epoki. To trzeba zobaczyć!!! Bardzo się cieszę, że mogłyśmy być tutaj tak długo i poczuć ten klimat. W Rabacie chcemy zjeść obiad – siadamy w jednej z restauracji i niestety dostajemy „babskiej głupawki”. Szczególnie pomaga nam w tym kelner, który zwraca się do nas per „madame”. Ale humor i żarty bardzo nas jednoczą - będziemy miały co wspominać. A dzisiaj po obiedzie nadałyśmy sobie ksywkę „cztery baquetty”.

**Dzień czternasty – 13.08.2016, sobota**

Po śniadaniu zajęcia w podgrupach. Ela i Barbara umówione są z Olą, która zabiera je na wycieczkę. A my udajemy się jeszcze raz na Gozo. Tym razem wyruszamy autobusem ze Sliemy i po ok. półtorej godziny docieramy na prom. Tuż przed wejściem kupujemy bilety na odkryty autobus, którym będziemy mogły poruszać się po wyspie, ponadto otrzymujemy tam słuchawki, dzięki którym możemy w trakcie jazdy słuchać informacji o wyspie w języku polskim. Z autobusu można wysiąść na dowolnym przystanku i po ok. 45 minutach wsiąść do następnego. Tym razem wysiadamy przy plaży z wręcz pomarańczowym piaskiem i spędzamy tu pół godziny. Jest bardzo gorąco, wsiadamy do autobusu i jedziemy dalej. Nie żałujemy sobie przystanku przy Azure Window. Tym razem dajemy sobie trochę czasu, żeby nacieszyć się widokiem (wg Oli to najpiękniejsze miejsce na ziemi). Naszym ostatnim przystankiem jest miasteczko przy zatoce, w którym Ola podziwia klify, a ja i Renata napychamy szybko nasze brzuchy. Tego dnia jest bardzo wietrznie, więc gdy spotykamy się wieczorem w domu, to same śmiejemy się ze swojej „pasiastej” opalenizny. Ale niestety…. Czas już pakować walizki…

**Dzień piętnasty – 14.08.2016, niedziela**

Po śniadaniu jedziemy jeszcze raz do Valletty na mszę do katedry, potem spacerujemy ulicami miasta, zaliczamy ostatnie lody na Malcie, docieramy do dolnych ogrodów Barrakka. Są większe i chyba jeszcze ładniejsze od górnych. W południe wracamy do domu, przebieramy się i niestety - opuszczamy nasze lokum. Na lotnisko odwozi nas ten sam pan, który przywiózł nas z lotniska dwa tygodnie wcześniej. Na lotnisku na początku trochę nerwowo przez bagaże, ale powoli dajemy z wszystkim radę. Odprawę przechodzimy bez niespodzianek, w strefie wolnocłowej kupujemy trochę prezentów i punktualnie o 18.40 odlatujemy. Lot mija nam bardzo szybko, lądujemy również we Wrocławiu, gdzie witają nas nasi mężowie i – „żegnaj przygodo”.

**To był super wyjazd! Podczas tych dwóch tygodni mogłyśmy uczyć się i doskonalić język angielski, ale także poznać nowych ludzi, zobaczyć wiele cudownych miejsc oraz odpocząć od codziennych spraw. Bardzo dziękujemy Grażynce za to, że tyle dla nas zrobiła i że dzięki niej mogłyśmy mieć tak wspaniałe wakacje! Dziękujemy wszystkim, dzięki którym projekt doszedł do skutku i został sfinalizowany.**

**DZIĘKUJEMY!!!**

Barbara Majchrowicz